

Ciężko dysząc, biegłyśmy uliczkami Sopotu.

– Pospiesz się – poganiała mnie Natalia. – Jeszcze musimy kupić bilety.

– Naiwna – mruknęłam pod nosem. – Ten koncert reklamują od ponad miesiąca. Na pewno wszystko wykupione. Niepotrzebnie tak pędzimy.

– Nie marudź. – Natalia pozostawała głucha na moje argumenty.

Słońce stało nisko nad horyzontem, kładąc długie cienie na chodniki. Jego promienie przedzierały się przez szpary pomiędzy liśćmi i oślepiająco kłuły w oczy. Zieleń drzew nadal była soczysta i świeża, jeszcze nieprzykurzona i niespatynowana przez czas. Upał panował iście tropikalny. Czułam strumyczki potu spływające wzdłuż kręgosłupa.

Natalia uparła się, aby zagospodarowywać mi każdą wolną chwilę, żebym nie miała czasu na myślenie. Poddawałam się potulnie tym zabiegom, wdzięczna za jej troskę. Nie protestowałam, chociaż nie wierzyłam w pozytywny efekt tych działań. Wypatrzyłam w jakiejś kolorowej gazecie reklamę tego koncertu. Po latach milczenia zespół 5 x Ja odezwał się ponownie i promował nową płytę. Natalia uznała, że jest to wydarzenie sezonu i koniecznie musimy wziąć w nim udział. Rozśmieszył mnie jej pomysł. Dwie stateczne panie, absolwentki wyższych uczelni, ja – akademii medycznej, ona – akademii wychowania fizycznego, miałyśmy bawić się pośród małolatów na koncercie rockowym. Ale Natalia uważała, że jest to atrakcja, której najbardziej potrzebuję do szczęścia. Zrezygnowałam z protestów, które i tak na nic by się nie zdały. W dziedzinie organizowania mojego wolnego czasu przyjaciółka uznawała tylko swoje racje.

Zasapane, wbiegłyśmy na ścieżkę prowadzącą do bramy Opery Leśnej i szłyśmy, już wolniej, wśród gęstniejącego tłumu.

– Patrz, kasa! – Natalia podbiegła do okienka i za chwilę triumfalnie zamachała dwoma biletami. – Widzisz, nie było żadnego problemu. Może jest to koncert dla małaolatów, ale ceny na pewno nie dla małaolatów.

– O! – zerknęłam na bilety – doskonale miejsca, tuż przy scenie. Niesamowite. Jakby czekały na nas – dodałam zdumiona.

– Chodź już, chodź. Nie filozofuj. – Natalia pociągnęła mnie w kierunku wejścia.

Przebrnęliśmy przez kontrolę biletów. Przeszliśmy obok bud z hot dogami i frytkami. Ominęliśmy wózek z watą cukrową oraz stoisko z napojami. Przy każdym kramiku kłębił się spragniony i głodny tłum. Jedzenie fast-foodów nie stanowiło naszej pasji, więc niezainteresowane ofiarowywanymi przez organizatorów pokusami skierowałyśmy się w kierunku widowni. Zeszliśmy po nierównych schodkach. Sektory powolutku zapełniały się fanami muzyki rockowej. Znalazłyśmy nasze miejsca i usiadłyśmy. Wokół panował gwar rozemocjonowanych głosów. Siedziałyśmy w doskonałym miejscu, na środku widowni, oddalone od estrady na tyle, że ogarniałyśmy wzrokiem całość, jednocześnie nie tracąc widoku szczegółów.

Po scenie biegła ekipa techników. Rozwijali kable, zmieniali ustawienie mikrofonów. W głośnikach co chwilę rozlegały się trzaski i przeraźliwe piski. A w tle rósł las. Wieloletnie świerki, brzozy i sosny tworzyły niepowtarzalną oprawę różnorodnych imprez, nie spotykaną w żadnym innym obiekcie tego typu.

Rozejrzałam się. Otaczali nas ludzie w podobnym wieku do naszego, a nawet starsi. Przed nami siedziało małżeństwo z kilkuletnią dziewczynką. Zerknęłam do tyłu. Trzy ławki za nami zobaczyłam grupkę rozchichotanych nastolatek. Ich agresywny makijaż, nastroszone fryzury w kolorach tęczy i młody wiek tworzyły rażący dysonans.

– Żebyśmy tylko nie zmarzły – zatroskałam się. – Jednak to dopiero pierwsza połowa czerwca. Trzeba było wziąć koc.

– Kiedy zaczną grać, zrobi się tak gorąco, że będziesz marzyła o klimatyzacji – roześmiała się Natalia.

Widownia pękała w szwach. Zajęte były już wszystkie miejsca siedzące, a tłum nadal napływał. Mnóstwo ludzi stało.

Na estradzie pojawił się konferansjer.

– Miło mi państwa powitać. Okazja jest szczególna. Zespół, który ponad pięć lat temu zapowiedział definitywny koniec swojego istnienia, reaktywował się. Mamy szczęście przebywać w mieście, w którym kapela ta postanowiła po raz pierwszy pokazać się po tak długim milczeniu i ponownie cieszyć nas swoją muzyką. Jestem przekonany, że czeka nas niezapomniane przeżycie, swoista uczta kulturalna z jednoczesną sentymentalną podróżą w przeszłość. Nasi bohaterowie na pewno nie zawiodą naszych oczekiwań. Proszę państwa, oto przed nami długo oczekiwani, niezwykle, niepowtarzalni, jedyni, kochani. . .

– Niech on już przestanie, bo się zaraz wyrzygam – warknął siedzący obok mnie bykowaty facet o gładko wygolonej czaszce.

– Fantastyczni, genialni, niezrównani – konferansjer kontynuował wyliczankę niezrażony gwizdami. Zrobił pauzę, nabrał powietrza. – Przed państwem legendarne 5 x Ja!

Scenę zalała fala różnokolorowych świateł. Pojawili się muzycy. Przez amfiteatr przetoczyła się burza wrzasku. Dziewczynki za nami zaczęły piszczeć. Według mojej oceny osiągnęły wysokie C. Natalia biła brawo, szturchała mnie łokciem w bok i mrugała do mnie znacząco. Łysy wzniosł pięść do góry i wygrażał nią, nie wiedzieć komu. Na jego szyi kołysała się wielka wojskowa lornetka. Rękaw jego kurtki zsunął się w dół i odsłonił piękną, nagą kobietę wytatuowaną na przedramieniu. Wydawał przy tym okrzyki:

– Łoł, łoł, łoł. . .

Muzycy podłączyli się do wzmacniaczy i zaczęli grać. Stare, sprawdzone hity. Najpierw *Szalona*. Następnie *Migoczący Świat*. Później *Ostateczny Krok*. Publika szalała. Wszyscy śpiewali razem ze swoimi idolami. Nikt już nie siedział. Ludzie tańczyli. Niektórzy wskoczyli na ławki i tam radośnie przytupywali do rytmu. Musiałam również wstać, aby cokolwiek widzieć. Aż w pewnym momencie i mnie udzieliła się ogólna euforia. Stepowałam, stojąc

na ziemi, i na całe gardło śpiewałam piosenki, które od dawna potrafiłam grać na swoim flecie.

– Ależ jestem ci wdzięczna, że mnie tu wyciągnęłaś! – krzyknęłam do Natalii. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Hałas był taki, że nie dało się rozmawiać.

Godzina atramentowej euforii

Muzycy przeszli do spokojniejszych rytmów, charakterystycznych dla ich nowej płyty. Publiczność uspokoiła się. Usiadłam. Lubiałam patrzeć podczas koncertu na grający zespół – na żywą muzykę. Pałeczki w rękach perkusisty tak szybko poruszały się, że tworzyły barwną smugę. Wokalista czule głaskał mikrofon, jakby to była jego kochanka. Obydwaj gitarzyści podskakiwali do rytmu jak kauczukowe piłeczki. Kołysałam się. Sąsiad z boku kiwał się synchronicznie z moimi ruchami i nucił:

– Nununu, nu, nu. . .

Czułam się odprężona i prawie szczęśliwa. Mają rację mądrzy ludzie, że kontakt ze sztuką, nawet tak prostą jak ta muzyka, uszczęśliwia człowieka. Na migi poprosiłam sąsiada, aby na chwilę pożyczył mi swoją lornetkę. Wręczył mi ją bez protestu. Wystrzyłam i spojrzałam na muzyków. Ich twarze były blade, znużone i świecące od potu – koncert trwał już ponad godzinę, mieli prawo odczuwać zmęczenie. Basiście właśnie pękła struna. Usunął się na bok sceny i zaczął ją wymieniać. Drugi gitarzysta podszedł do niego, nie przerywając grania. Był drobnym brunetem. Jego półdługie włosy wiły się wokół twarzy i karku, a gęsta grzywka wpadała w oczy. Chyba trochę przeszkadzała mu, bo co chwilę energicznym ruchem głowy odrzucał ją na bok. Pochylił się w kierunku kolegi, tłumacząc mu coś żywo, i uśmiechnął się. Zrobiło mi się słabo. Tyle razy patrzyłam na identyczny uśmiech na twarzy mężczyzny, którego już nie było. Poczułam potrzebę natychmiastowego wyjścia. Oddałam lornetkę sąsiadowi i gwałtownie wstałam. Natalia spojrzała na mnie zdumiona i zobaczyłam popłoch w jej oczach.

– Co się stało? – krzyknęła mi do ucha.

– Nic, nic – wybelkotałam. – Idę do toalety. Zostań do końca, spotkamy się przy budce z hot dogami.

– Jesteś pewna? – patrzyła na mnie niezdecydowana.

Pokiwałam twierdząco głową i runęłam do wyjścia, nie zważając na to, że deptę ludziom po stopach. Co chwilę słyszałam niecierpliwe posykiwania i niepochlebne uwagi. Nie interesowało mnie to. Chciałam jak najszybciej wyjść z tłumy.

Koncert dobiegał końca. Wszyscy czekali na największy przebój: *Wirujące Planety*. Wreszcie doczekali się. Amfiteatr ogarnęło szaleństwo. Ludzie płąsali w dzikich tańcach. Na ziemi, ławkach, pojedynczo i w parach. Niektóre dziewczyny na męskich ramionach. A ja patrzyłam na to wariactwo i nie rozumiałam go. Biegłam, potrącana przez bawiących się, i marzyłam o chwili samotności.

Dopadłam toalet. Thum. Odczekałam w kolejce kilka wieków i zamknęłam się w kabinie. Usiadłam na opuszczonej desce klozetowej i skryłam twarz w dłoniach. Spod powiek wyciekły mi piękące łzy. Tylko dwie. Przecisnęły się pomiędzy palcami, parząc je, i spadły na podłogę. Dygotałam. Było mi duszno. Chciałam położyć się na podłodze i płakać, płakać, płakać... A jednocześnie pobiegłabym dokąś, aby uciec przed wspomnieniami. Ten uśmiech...

Godzina buromdłej rozpacz

Po dziesięciu minutach na tyle się uspokoiłam, że byłam w stanie wyjść na zewnątrz. Podeszłam do umywalki i spryskałam twarz zimną wodą. Spojrzałam w lustro. Zobaczyłam trupioblada maskę z sinymi ustami i lśniącymi przerażeniem oczyma o wielkich źrenicach, obwiedzionych wąskim okręgiem błękitnej tęczówki. Jak nic, mogłabym bez charakteryzacji zagrać w horrorze. Obok mnie poprawiała makijaż potężna, na oko szesnastoletnia dziewczyna.

– Ten facet twierdził, że jest ich impresariem – mówiła do koleżanki. – Pomoże zdobyć nam ich autografy. Umówiłam się z nim koło wyjścia za 10 minut. Pojedziemy jego samochodem do hotelu, w którym mieszkają.

– Ale super! – Koleżanka zapiszczała i z emocji zapukała o podłogę podkutymi szpileczkami. Ubrana była w lśniące spodnie z tafety, tak obcisłe, że mówiła na półwdechu, i w czarną koronkową bluzeczkę, która więcej pokazywała, niż zasłaniała.

Co ja tutaj robię, pomyślałam z niesmakiem, ten koncert to jedna wielka pomyłka.

Z kabiny wyszła długowłosa blondynka o delikatnej urodzie.

– Jestem taka napalona, że wszystko mi jedno, kto mnie przeleci – rzuciła w eter.

Wyszłam. Amfiteatr szalał – zespół po raz kolejny bisował. Zaniepokojona Natalia stała obok stoiska z hot dogami.

– Jesteś – odetchnęła z ulgą. – Co się stało?

– Już dobrze. Nic szczególnego. To tylko takie przywidzenia. Chodź, tam jest spokojny kąt. Usiądziemy na chwilę na murku. Zaraz dojdę do siebie.

– Zobacz – Natalia rozwinęła plakat z podobiznami członków zespołu. – Kupiłam dla siostry. Uwielbia ich, a nie mogła przyjść z nami.

Spojrzałam obojętnie na plakat i westchnęłam. Natalia objęła mnie, nic nie powiedziała. Podprowadziła mnie do murku i troskliwie na nim usadziła. I tak siedziałyśmy, czekając, aż dojdę do siebie, jak zwykle.

Koncert skończył się. Słyszałyśmy pomruk wychodzącego tłumu. Kamienny murek nie był najwygodniejszym miejscem do siedzenia. Patrzyłyśmy na szary betonowy mur i obdrapane metalowe drzwi. Widziałam zadrapanie w kształcie sikającego kowboja, któremu uciekł koń – strząsał z penisa ostatnie krople moczu i z oburzeniem spoglądał w kierunku niknącego w dali rumaka. Oprócz tego była szrama w kształcie siedzącego psa, wschodzącego słońca, jak również zarys węża, który właśnie skonsumował słońca.

Patrzyłam na te zadrapania, których interpretacją zajęła się moja wyobraźnia, i powolutku dojrzewiałam do powrotu.

Rozległ się szczeń przekręcanego w zamku klucza. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Cholera, jeszcze jedno – usłyszałyśmy. Popatrzyłam ku gó-

rze. Przed nami stał perkusista, gitarzysta i kilku nieznanych mi facetów. Wzrok mój i bruneta skrzyżowały się. Na dnie jego oczu spostrzegłam trudne do zdefiniowania uczucie. Jakby mój widok skojarzył mu się z czymś, czego nie mógł sprecyzować.

– To gdzie mamy złożyć wam te autografy? – zapytał.

Natalia przytomnie rozwinęła swój plakat i rozpięła go na murze. Obydwaj muzycy podpisali się pod swoimi podobiznami wielkimi literami, z olbrzymią ilością zawijasów.

– Idziemy – mruknął gitarzysta. – Dostałem w kość. Mam dosyć. Tak mi dzisiaj nijak – na odchodnym zerknął na mnie jeszcze raz i zmarszczył czoło, jakby usilnie starał się coś sobie przypomnieć.

I poszli jakimiś tajemniczymi ścieżkami, omijając tłumy. Zostałyśmy, ze zdumieniem popatrując na siebie.

– Na pewno nie miałybyśmy takiego fartu, gdybyśmy specjalnie czyhały na ich autografy – roześmiała się w końcu Natalia. – Chodź. Złapiemy taksówkę i odwiozę cię do domu. Nadal wyglądasz jak upiór i chyba nie masz siły tłuc się pociągami.

Po upływie godziny dotarłam do domu. Malutkiego, drewnianego domku, w którym od dwóch lat mieszkalam razem z wujkiem Czesiem. Wujek wszedł w jego posiadanie niespodziewanie, odziedziczywszy go po śmierci żony. Od wielu lat mieszkali oddzielnie, ale nadal byli małżeństwem – nie zależało im na przeprowadzeniu prawnie usankcjonowanego rozwodu. Pozostawiła mu w spadku ten otoczony morzem zieleni domek. Innych spadkobierców nie było. Zamieszkiwał w nim ze swoim bratem, Feliksem, dopóki ten również nie umarł. Czuł się bardzo samotny, ja również, więc zaproponował mi pokój u siebie. I tak zamieszkaliśmy razem w malutkim, przytulnym domku. On na parterze, ja na pięterku. Było mi jak u Pana Boga za piecem. Dbał o mnie jak nikt inny. Odkrył w sobie duszę ogrodnika i uprawiał ogródek, uzyskując obfite plony. Wpychał we mnie jarzyny i owoce własnej produkcji. Gotował obiady, rozpieszczał mnie, jakbym była jego córką.

Byłam prawie szczęśliwa.

Czekała mnie kolejna bezsenna noc. Od wielu miesięcy nie sy-

piałam. Każdej nocy na parapecie mojego okna zasiadały Cisza i Groza. Ciszy od dawna już się nie bałam, doprowadzało mnie tylko do pasji jej dzwonienie. Ale Groza powodowała, że w jej obecności zaczynałam się dusić. Nie pomagało wpuszczanie do pokoju świeżego powietrza. Kładłam się do łóżka i nie mogłam oddychać. Patrzyłam w oczy obydwu poczwar: smutne Ciszy, a Grozy – złośliwe, i przewracałam się z boku na bok. Czasami udało mi się skraść godzinę lub dwie pełnej koszmarów i niedającej odpoczynku drzemki.

Byłam doskonałym stażystą. Brałam każdy dyżur, jaki tylko był wolny. Nie dla pieniędzy, tylko by mieć zajęcie i nie musieć myśleć... Następnej nocy również czekał mnie dyżur na chirurgii. Musiałam tylko przetrwać kilka najbliższych czarnych godzin.

Godzina nieścieralnie-hebanowej pustki

Nadszedł świt. Patrzyłam przez okno na olbrzymie krzaki bzów, na szczycie których sterczały wysuszone wiechcie – pozostałość po pięknych kwiatach. Trzeba by je było przyciąć, pomyślałam. Wujek nie powinien w swoim wieku skakać po drabinie. Postanowiłam następnego dnia rozprawić się z suszkami. Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie noc sprzed dwóch tygodni. Siedziałam przy oknie jak dzisiaj, patrząc w gwiazdy, i w pewnym momencie zobaczyłam pod płotem zamazaną postać. Był to amator naszych bzów. Przyszedł skraść kilka gałązek. Ale krzaki były wysokie i nie mógł sięgnąć do najładniejszych kwiatów. Przez chwilę patrzyłam, jak podskakiwał, usiłując dotrzeć do wyższych partii. Bezszelestnie otworzyłam okno, wychyliłam się i głośno, życzliwym głosem zaproponowałam:

– A może przyniosę drabinę. Będzie łatwiej.

Usłyszałam dziki tupot, który po chwili ucichł w głębi ulicy. Przerażony złodziej uciekł. Rano znalazłam dowody jego przestępstwa – liliowe kwiaty rozsypane na chodniku. Wyglądało na to, iż tak go przestraszyła moja przyjazna uwaga, że uciekając, wszystko pogubił. Szkoda, że był taki płochliwy, westchnęłam, miałabym teraz mniej wiechci do ścinania.

Osiedle powoli budziło się do życia. Na ulicy zawarczał maluch sąsiada. Nie wiem, w jakim zakładzie ten człowiek był zatrudniony, ale zawsze wyruszał do pracy o wpół do piątej. Po chwili pod naszym płotem przemaszerowała sąsiadka, wyprowadzająca na spacer wielkiego doga. Uznałam, że pora i na mnie. Zeszłam na parter i włączyłam ekspres do kawy. Wiedziałam, że zapach mokki zwabi za chwilę wujka do kuchni. Nie pomyliłam się. Pojawił się kompletnie ubrany i przywitał się:

– Dzień dobry. Jak pięknie pachnie. – Wciągał nozdrzami powietrze. – Ty tu sobie parz kawkę, a ja skoczę po świeże bułeczki.

I poszedł, jak co dzień. To był nasz poranny rytuał. Po jego powrocie zjedliśmy ciepłe bułeczki posmarowane grubą warstwą masła i schrupaliśmy do nich po garści pysznych rzodkiewek, wyrwanych prosto z wujkowej grządki.

Godzina rozsnutyh mgliście porannych aromatów

– Jak tam udał się koncert? – zainteresował się wujek.

– Bardzo sympatyczny – odparłam.

– Taka muzyka to już nie dla mnie. Zbyt głośno.

– Tak. To prawda. Było bardzo głośno – przyznałam. – Mam dzisiaj dyżur – kontynuowałam – zobaczymy się dopiero jutro.

– Zarzniejsz się, dziewczyno. Kto to widział tyle pracować? – zatroskał się.

– Nie martw się, wujku. – Uściskałam go serdecznie. – Ja to lubię. Ktoś to musi robić.

Dzień minął jak zwykle: obchód, dwie operacje, wypisy, konsultacje, jedna mała scysja z upartym pacjentem. A później dyżur w izbie przyjęć. Zszywałam różnorakie rany, zakładałam opatrunki na porozbijane głowy. Załapałam się na jedno płukanie żołądka u niedosłej samobójczyni. Około północy uspokoiło się. Dotarłam do swojej dyżurki, aby coś zjeść, na co od rana nie miałam czasu.

Po chwili zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę, przełykając ostatni kęs.

– Pani doktor – usłyszałam w słuchawce głos pielęgniarki. – Prosimy na blok operacyjny. Mamy ostry wyrostek.

W biegu pochłonełam z plastikowej butelki kilka łyków wody mineralnej i popędziłam na salę operacyjną. Weszłam do szatni, przebrałam się w zielony mundurek i wkroczyłam do środka. Panował półmrok. Podążyłam w kierunku jedyne jasno oświetlonego pomieszczenia. Założyłam czapkę i maseczkę. Odkręciłam kran, wyregulowałam strumień wody. Wyjęłam szczotkę z metalowego podajnika i zaczęłam szorować ręce. Bardzo dokładnie, według schematu. Mojego szefa jeszcze nie było. Pielęgniarka anestezjologiczna zakładała pacjentowi wenflon do żyły i podłączała kroplówkę.

Woda wraz z pianą spływała z moich rąk, wirowała na dnie metalowego zlewu i znikwała w otworze wylotowym. Chrzęst szczotki i chlupot wody. Chlup, szur, szur, chlup... Czasami spienione krople opryskiwały nadgryzione zębem czasu białe kafle na ścianie i spływały mętną smugą na podłogę, tworząc mydlane plamy na szarackowatego koloru terakocie.

Wszedł anestezjolog. Kiwnął mi na powitanie głową i poszedł znieczulać. Spojrzałam w lustro. Zobaczyłam znużone, przekrwione oczy, z sinymi worami pod spodem, jak u starego człowieka. Moja twarz w otoczeniu zielonej czapki i maski nabrała również zielonkawej, niezdrowej barwy. Przyjrzałam się mojemu nakryciu głowy i odkryłam, że to nie czapka, tylko szmaciany ochraniacz na buty. Zachciało mi się śmiać. W szpitalu brakowało wszystkiego. Braki łątano produktami zastępczymi i na każdym kroku spotykało się absurdy. But na głowie nie był niczym nadzwyczajnym.

– Stoi do operacji pani doktor z butem na głowie, nikt jej nie pożałuje, nikt jej nic nie powie, tylko się każdy gapi, tylko się każdy gapi – zanuciłam pod nosem, parafrazując znany przebój. Czułam, że ogarnia mnie „głupawka”.

– Proszę do ubrania – zawołałam po skończeniu mycia. Podeszła salowa i podała mi jałowy fartuch. Okutana w zwoje zielonego materiału weszłam do sali operacyjnej. Pacjent już spał. Zerknęłam na niego, ale każdy człowiek z rurą w ustach i chustą omotaną wokół głowy wygląda tak samo. Czasami, jeżeli delikwent nie ma obfitej brody lub wąsów, trudno nawet rozpoznać płeć. Umyłam

pole operacyjne i obłożyłam je jałowymi serwetami. Przez ten czas mój szef, docent Radziwił, zdążył się umyć. Stał po drugiej stronie stołu. Był doświadczonym chirurgiem i jednocześnie niezwykle wesołym człowiekiem. Przy operacjach zawsze dowcipkował, co nie przeszkadzało mu w sprawnym przeprowadzaniu zabiegów. Dzisiaj jednak wyraźnie był zmęczony. Pracowaliśmy w ciszy, przerywanej jego krótkimi komendami, pikaniem aparatury anestezjologicznej i szumem respiratora.

Zabieg skończyliśmy błyskawicznie. Szef odszedł, nie zaszczycał mnie ani jednym spojrzeniem. Zakładałam opatrunek, a anestezjolog wybudzał pacjenta.

– Proszę otworzyć oczy. Oddychaj. Głęboki wdech i juuuż. – Rozintubował pacjenta. Spojrzałam na twarz człowieka, którego operowaliśmy, i zdębiałam. Na stole leżał gitarzysta zespołu 5 x Ja. Patrzyłam i nie wierzyłam własnym oczom. Taki sławny, każdy lekarz mógłby go operować, a on swoje życie zawierzył moim dłoniom. I gdzie media? Gdzie reporterzy? Idol choruje w ciszy?

Anestezjolog beznamiętnie wykonywał rutynowe czynności. Nie wiedział, z kim ma do czynienia? Chyba nie. Dla niego każdy pacjent był kolejnym przypadkiem. Choroba i szpital odzierają człowieka, nawet słynnego i ważnego, z indywidualizmu i godności. Zerknęłam na kartę choroby. Janusz Zubrymowicz. Nareszcie wiedziałam, jak się nazywa. Nazwa 5 x Ja powstała, ponieważ każdy z członków zespołu miał imię zaczynające się na literkę „J”. Janusz, Jarek, Jacek, Jan, Jędrzej. Janusz – największa indywidualność i lider zespołu, kompozytor większości ich piosenek.

– Panie Januszu! – pokrzykiwał anestezjolog. – Proszę otworzyć oczy. Już po zabiegu. Oddychaj, oddychaj!

Pacjent zaczął kaszleć. Pielęgniarka anestezjologiczna wprawnym ruchem przekręciła jego głowę na bok i przyłożyła do ust ligninę.

– Proszę odkrztusić ślinę i wypluć – instruowała. – No, jeszcze. Energicznie.

Przełożyliśmy pacjenta na wózek i razem z siostrą wyruszyłam w drogę powrotną na oddział, pilnując, czy jego klatka piersiowa

porusza się. Po operacjach w żyłach ludzi krążą jeszcze resztki leków znieczulających, które powodują, że czasami chorzy zapominają oddychać. Trzeba więc ich stale kontrolować i ewentualnie mobilizować do ponownego podjęcia tej niezwykle ważnej życiowo czynności.

Dotarliśmy na salę pooperacyjną, na której zajęte były trzy łóżka. Przełożyliśmy pacjenta na ostatnie wolne, usytuowane tuż pod oknem.

– Ja przy nim posiedzę – szepnęłam.

– Och, to dobrze – pielęgniarka, Małgosia, drobna szatynka, pogodna i niezwykle żywotna, spojrzała na mnie z wdzięcznością.
– Ja muszę roznieść leki.

Panowała cisza. Kardiomonitor, do którego podłączony był jeden z pacjentów, pracował z wyłączonym dźwiękiem. Widać było tylko zielonkawy zygzak przesuwany się po ekranie. Panowała ciemność, nieco rozjaśniana lampkami oświetlenia awaryjnego, umieszczonymi tuż nad podłogą, oraz poświatą wpadającą zza drzwi.

Godzina migotliwie szmaragdowego półmroku

Janusz spał. Oddychał spokojnie, bez przerw. Wyglądał wyjątkowo krucho pod szpitalnym kocem. Jego włosy rozsypały się w nieładzie na poduszce. Cerę miał niezwykle bladą. A może tak mi się wydawało w tych ciemnościach? Taki drobny mężczyzna, pomyślałam, a ma uśmiech kogoś nieprawdopodobnie silnego. Jak to możliwe, dumałam. W swojej pracy starałam się nie podchodzić emocjonalnie do pacjentów. To przeszkadzało. Ale do tego człowieka przyciągała mnie jakaś tajemnicza siła.

Ujęłam jego dłoń, wąską, o bardzo długich palcach. Była piękna... Dłoń artysty. Mięka i delikatna, widać było, że nigdy nie pracował fizycznie. Tylko lata naciskania strun gitary sprawiły, że opuszki palców pokryły się twardą, zrogowaciałą skórą.

Poruszył się i gwałtownie ścisnął moją rękę. Bardzo mocno. Podniosłam wzrok i napotkałam jego przerażone spojrzenie. W ciemności nie widziałam granicy między źrenicą i tęczówką.

Wyglądało to tak, jakbym patrzyła w dwie czarne dziury. Poczułam się nieswojo.

– Agnieszka. . . – wychrypiał. – Czyli umarłem – dodał po dłuższej chwili. – To dobrze – westchnął.

Cisza.

– To niebo czy piekło? – zapytał po kilku sekundach i, nie czekając na odpowiedź, zasnął.

Siedziałam zdumiona. Po narkozie myśli ludzkie wędrują dziwnymi ścieżkami. Pacjenci wypowiadają je na głos, ale później ich nie pamiętają. Wielokrotnie te słowa są bardzo przejmujące, szczególnie dla osób bliskich. Nie byłam nikim bliskim. Zaintrygowało mnie jednak, kim była Agnieszka. Ale po cóż mi była ta wiedza? Za kilka dni Janusz wyjdzie ze szpitala, zajmie się swoimi sprawami, i tak zakończy się mój przypadkowy kontakt z nim.

Nadal trzymałam jego rękę w mojej dłoni. Spokojny oddech unosił jego klatkę piersiową.

– Pani doktor! Na salę operacyjną, szybko! – Na salę wbiegła Małgosia. – Przywieźli troje ludzi ciężko poszkodowanych w wypadku komunikacyjnym. Docent Radziwił poszedł już na dół. Jeszcze ściągam z domu doktora Miechowicza.

I tak do rana czas upłynął mi na asystach do operacji. Nie miałam czasu rozmyślać. Rano, przed odprawą, zdążyłam wykąpać się i pożreć kawałek suchej bułki z serem, popijając ją gorzką kawą. A później rutyna: odprawa, obchód z profesorem, dwa wypisy, jedno przyjęcie i, wyjątkowo, tylko jedna asysta do operacji. Zabieg nieskomplikowany: laparoskopowe wycięcie pęcherzyka żółciowego z docentem Radziwiłem u czterdziestoparoletniej kobiety.

Myłam pole operacyjne. Pacjentka już była znieczulona, a ja przyglądałam się jej. Miała gładką, zadbaną skórę. Musiała wkładać wiele pracy i pieniędzy, aby utrzymać taki wygląd. Drogie kosmetyki, masaże. Podziwiałam śliczne palce, zakończone paznokciami o idealnym kształcie migdała. Anestezjolog owijał chustą jej głowę, walcząc z włosami, których kosmyki wymykały się z jego rąk i nie chciały dać się ujarzmić. W końcu wszystkie ciemne loki przetykane miedzianymi pasemkami znikły pod zieloną serwetą.

Zdumiewał mnie fakt, że kobieta, która prawdopodobnie z głębokim namysłem wybiera balsamy do ciała, szampony, fryzjera, manikiurzystkę i produkty spożywcze, oddaje się w ręce zmęczonego po dyżurze lekarza. Nie słyszałam o przypadku śmierci z powodu źle położonej farby na włosach, krzywo opiłowanych lub pokrytych nierówną warstwą emalii paznokci. A nieuwaga operatora, nawet najlepszego, ale znużonego, może niestety doprowadzić do katastrofy.

Operowaliśmy w milczeniu. Asystowanie nie wymagało ode mnie zbyt dużej koncentracji. Trzymałam sztywno kamerę wprowadzoną przez mały otwór w skórze do wnętrza brzucha, patrzyłam na ekran, a doktor Radziwił sprawnie manipulował laparoskopowym sprzętem. Krok po kroku wycinał przekrwiony i napełniony kamieniami pęcherzyk żółciowy. Narzędzia omijały o milimetry duże naczynia. Małe drgnięcie ręki mogło je uszkodzić, ale ręka nie drgnęła. W końcu wyciągnęliśmy usunięty narząd na zewnątrz. Koniec. Kolejny pacjent miał szczęście: przeżył operację, pomimo zmęczenia doktora.

Koło południa udało mi się wyjść z pracy. Wróciłam do domu. Zrobiłam porządek z uschniętym bzem. Zjadłam pyszny obiad zrobiony przez wujka. Chwilę porozmawiałam z nim. Obejrzałam kryminał w telewizji i poszłam spać. Przynajmniej miałam nadzieję, że zasnę. Przedrzemałam noc, męczona koszmarami, i rano wstałam równie wykończona jak wieczorem.

Obchód. Szliśmy w tłumie za profesorem. Niosłam naręczę historii chorób i podsuwałam kolejne z nich profesorowi, kiedy coś chciał sprawdzić. Janusz (zaczęłam myśleć o nim po imieniu, nie wydawało mi się, że będzie mu to przeszkadzało) leżał w dwuosobowej izolatce. Czułam na sobie jego wzrok. Nie spojrzałam na niego. Po cóż miałabym?

Koło jedenastej zajrzałam ponownie do izolatki. Wokół łóżka Janusza zgromadzili się pozostali członkowie zespołu. Kiedy weszłam, zamilkli i z zaciekawieniem spojrzeli w moim kierunku. Speszyłam się. Mruknęłam pod nosem coś, co mogło znaczyć cokolwiek, obróciłam się na pięcie i wyszłam.

– Pani doktor – usłyszałam za sobą – proszę zaczekać.

Przystanęłam. Z izolatki wyszedł wokalista zespołu, chyba miał na imię Jan. Podszedł do mnie.

– Proszę się nim zająć. – Zaczął wciskać mi do rąk nieforemną paczkę. – My wyjeżdżamy. On tutaj nikogo nie zna. Taki pech, że akurat musiał się rozchorować na wyjeździe. Rozmawiałem z profesorem. Będzie wypisany za trzy dni, jeżeli nie będzie jakichś komplikacji. Proszę mu pomóc.

– Jeżeli będzie czegoś potrzebował, to niech da znać. Nie ma problemu, zawsze pomogę – zgodziłam się. – A to jest niepotrzebne. – Chciałam oddać mu paczkę, ale odskoczył, i zostałam z pakunkiem w ręku.

Tuż przed wyjściem z pracy, zerknęłam jeszcze raz do izolatki. Przy łóżku siedziała młoda kobieta. Wyglądała, jak wycięta z żurnala, począwszy od czubka głowy, poprzez dłonie, tułów, a skończywszy na stopach. Na kolanach trzymała notes, w którym zapisywała coś czarno-złotym piórem. Spojrzałam na Janusza. Był blady i miał bardzo nieszczęśliwą minę.

– Myślę, że wystarczy już tego wywiadu. Proszę opuścić izolatkę – poleciłam groźnym tonem. – To jest człowiek po ciężkiej operacji, ledwo uszedł z życiem. Nie wolno go męczyć.

Kobieta spojrzała na mnie i zmarszczyła czoło.

– Mam pozwolenie profesora. Proszę nam nie przeszkadzać – odezwała się z wyższością. – Jeżeli będziemy potrzebowali czegoś, zadzwonimy – i położyła rękę czułym gestem na jego dłoni.

Coś się we mnie zakotłowało.

– Profesor pozwolił na piętnaście minut – wycedziłam przez zęby. – Wyjątkowo. Chorych odwiedzać mogą tylko członkowie rodziny. A profesor pozwolił pani na wywiad, a nie na zameczenie pacjenta. Poza tym, dlaczego nie ma pani założonych ochraniaczy na buty? Tu leżą chorzy ludzie po operacjach. Naniosła pani bakterii na tych butach. Jeżeli ktoś będzie miał powikłania, to przez panią – warczałam.

Zerwała się gwałtownie z krzesła i zatrzasnęła notes.

– Bezczelność. Poskarżę się profesorowi – wysyczała przez zęby.

– Dokończymy kiedy indziej – zaćwierkała do Janusza. – A z tobą policzę się jeszcze – i wyszła.

– Czekam z niecierpliwością – odpowiedziałam beznamyślnie do zamkniętych drzwi.

– Dziękuję, rzeczywiście byłem już zmęczony. Ona nie do końca przyszła po wywiad. Narzuca mi się od kilku tygodni. Ale pani może mieć przez to zdarzenie problemy. Nie należy zadzierać z prasą – zatroskał się.

– Jestem tak mało ważną osobą, że szkoda tracić czas na mnie. Profesor nie będzie wiedział nawet, o kim ona mówi – roześmiałam się. – Koledzy prosili, abym się panem zajęła, więc czuję się odpowiedzialna za pana. Nie pozwolę, żeby ktoś zamęczył mojego pacjenta. Nie po to zaczęliście ponownie po tylu latach grać, żeby głupi wyrostek w tym przeszkodził.

– O, to pani wie, kim jestem. – Jakby posmutniał. – Myślałem, że będę tutaj anonimowy.

– Do anonimowych pacjentów nie przychodzą takie wycackane lale ze złotymi piórami. A ja byłam na koncercie w Sopocie. Spotkałiśmy się nawet przy tylnym wyjściu.

– Taa, pamiętam. – Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. – Kombinowałem, skąd się znamy. Rzeczywiście, siedziała pani na murku z koleżanką. Podpisaliśmy się wam na plakacie.

– Niemożliwe, żeby pan to zapamiętał – zdumiałam się. – Tyle fanek kręci się wokół was. Nie sposób je wszystkie spaźniętać!

– Wszystkie nie, to prawda – przyznał. – Ale niektórych twarzy nie sposób zapomnieć.

Piknęło mi w sercu, jakby ktoś wbił w nie drobną drzazgę. A później od miejsca ukłucia rozeszło się ciepło. To miłe uczucie, wiedzieć, że wśród tłumu anonimowych twarzy, właśnie moja nie była anonimowa.

– Mam szczęście, że trafił mi się taki lekarz. – Miał minę małego chłopca, który właśnie coś spocił. – Gdybym mógł to przewidzieć, sam zapaliłbym sobie ten mój wyrostek.